



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Pierwszy kobiecy zjazd

W CZECHACH.

Pracując dzielnie we wszelkich kierunkach i zbierając już od lat kilkunastu hojne owoce swej pracy, postanowiły Czeszki zebrać się w swej „złotej” Pradze, aby się lepiej zapoznać, uczynić jakoby przegląd swej dotychczasowej roboty i wytknąć cel na przyszłość. To było zadaniem obecnie odbytego zjazdu. Termin je-
go początkowo oznaczony był na 25 Września roku zeszłego, jako na dzień S-go Wacława, patrona Czech. Z powodu jednak ogromu pracy i wielkiego nagromadzenia materiałów zjazd odłożono do S-go Jana Nepomucena, jako drugiego patrona kraju. Miano tu jeszcze i praktyczną stronę na względzie, — ponieważ na te odpusty zjeżdża się mnóstwo ludu do Pragi — zatem koszty przejazdu na kolejach są obniżone. W tym roku wyjątkowo z powodu stale padających deszczów, które wywoływały nawet powodzie w różnych okolicach kraju zjazd pątników był nie tak liczny, gdyż dochodził tylko do 30,000. Nie mniej jednak przybyła znaczna liczba kobiet, przeważnie delegatek od kobiecych stowarzyszeń z Czech i Morawy. Chociaż był to czas trwania lekcji wiele nauczycielek stanęło na wezwanie.

Takim sposobem uczestniczyło w zjeździe przeszło 500 kobiet, a drugie tyle dostać się nie mogło do sali obrad, ponieważ z powodu szczupłości miejsca liczbę biletów wejścia musiano ograniczyć.

Diwne było tylko, że Galicya nie miała żadnej reprezentantki na zjeździe, chociaż był on zatytułowany czesko-słowiański, a Galicya po-

winna by się interesować ruchem kobiecym w Czechach, tembardziej żyjąc w jednakowych warunkach.

Już w wigilię zjazdu widać było niezwykle ruch w mieście, przyjezdne panie kupowały programy zjazdu i odbierały zamówione naprzód bilety wejścia, w wydaniu których ofiarowały swe pośrednictwa księgarnie.

Wieczorem w teatrze narodowym odbyło się uroczyste przedstawienie, rozpoczęte okolicznościowym wierszem Paoli Maternowej, poczem nastąpił żywy obraz, który stanowił ilustrację poprzedniego wiersza. Na kwitnących jabłoniach i czeremchach bujały, niby jaskółki pełne miłości rodzinnego gniazda, siostry czesko-słowiańskie. Podtrzymywany i otoczony symbolicznymi postaciami wznosił się biały sztandar miłości bliźniego, pracy i ideału. Ku niemu dążyły kobiety różnych stanów, z wieśniaczkami w malowniczych strojach na czele, wieńcząc go kwieciami i zielenią i podając sobie nawzajem ręce do zgodnej pracy. A wszystko to na tle ukochanych Hradezan i Karłowego mostu, których widok stanowił tylną dekorację.

Poczem odegrano ulubioną operę Smetany Hubiczka (Pocłunek), do której słowa z pięknej powiastki Karoliny Swietli, przerobiła Eliszka Krasnohorska.

Zjazd zwołany został pod protektoratem pani Eleonory hrabiny Kounic-Woraczyckiej zasłużonej filantropki oraz ulubionej i szczególnie szanowanej Karoliny Swietli. Ciężka choroba tej idealnej na wskrós duszy, która męczy ją od czasu śmierci ukochanego małżonka, była przyczyną jej nieobecności podczas obrad.

Przewodnicząca pani Zofia Podlipska, siostra poprzedzającej, znana pisarka i pracownica niezmordowana na polu filantropijnem, z powodu choroby sercowej nie mogła też brać osobiście udziału w zjeździe, zatem przewodniczyła obradom pani Wenczesława Lużycka-

Srbowa, mająca nieposłednie zasługi na polu literatury.

Punkt o dziewiątej w Sobotę 15 Maja otwarto posiedzenie odśpiewaniem przez chór kobiecy kantaty na słowa Bożeny Niemcewowej „Żeny czeskie, — matki czeskie.”

Po wypowiedzeniu pięknego powitalnego wiersza, napisanego przez Irenę Geislową, przewodnicząca komitetu przygotowanego, pani Friedlądrowa powitała zgromadzenie serdecznymi słowy i oddała prowadzenie zjazdu pani Lużyckiej-Srbowej. Poczem prezydent Pragi d-r Jan Podlipny witał uczestniczki zjazdu pod dachem starej Radnicy (ratusza), w pamiętnej tyłu obradami izbie radnej, gdzie w czasie wojen husyckich 1421 roku zebrała się gromadka prażanek, które pod przewodnictwem sławnej mówczyni Joanny z Różmitolu domagały się zakończenia sporów religijno-politycznych. Było to zatem pierwsze zbiorowe wystąpienie Czeszek.

Z kolei d-r Kurz, poseł do parlamentu, przemówił w imieniu stowarzyszenia „Narodni Jednota poszumowsku,” przypominając, że z tamtąd właśnie w roku zeszłym wyszło pierwsze hasło i projekt zjazdu kobiecego.

Nareszcie pani Lużycka-Srbowa, zagajając rozprawy przedstawia, że dawniej za największą cnotę kobiety uważano milczenie, a za najlepszą miano tę, o której istnieniu świat nie wiedział. Obecnie czasy się zmieniły. Teraz skarbów milczenia nie chowamy pod kocem, lecz wynosimy na światło dzienne skarby wymowy. Dziś swe żale, pragnienia i nadzieje przedstawiamy otwarcie, bo, tylko grając w odkryte karty, możemy się spodziewać wygranej.

W obecnych czasach kwestya kobieca weszła na inne tory, dużo już wywalczyłyśmy sobie, a sprawiedliwością rządzący się ludzie przyznają nam słusność w żądaniach. Tylko ci jeszcze oburzają się na ruch kobiecy, którzy w ogóle nie radzi widzą jakiegokolwiek zmiany w koło sie-

bie, którym wygodnie drzeć w spokoju, okupionym jakimś ofiarą.

Mamy już czyni za sobą, na które powołać się możemy, że nie robimy hałasu o nie—ufajmy, że w przyszłości utworzymy sobie drogę do czynów dalszych i że sam ten zjazd bezowocnie nie przejdzie.

Następnie zabiera głos pani Joanna Daneszowa, była nauczycielka z Pragi, która wykazuje historyczny przegląd pracy i zasług kobiecych.

Po nieszczęśliwej Białogórskiej bitwie naród czeski popadł w długie 150 lat przeszło trwające uśpienie, z którego dopiero za czasów reform Józefa I oraz Maryi Teresy, po zniesieniu poddaństwa i pańszczyzny, budzić się zaczął.

Już około roku 1830 w wychodzących wtedy czasopismach pojawiały się poezje i powiastki kobiecego pióra jak Dobromila Rettingowej, Maryi Antonii, Bogusławy Rojskiej, Maryi Czackiej, Wlastimili Rożyczkowej i innych.

Nareszcie wypłynęła na powierzchnię piśmienną i publicznej działalności niezapomniana Bożena Niemcowa, która, czując popęd do pióra, pierwsze swe utwory pisała po niemiecku—potem jednak pod wpływem patriotów zniszczyła je i zaczęła pisać poezje, powieści i artykuły etnograficzne w czeskim języku, a dziś jest chlubą narodu. Ona też przyczyniła się wiele na polu oświaty ludu, ze szczególnem uwzględnieniem kobiet.

Godne współzawodniczki miała Niemcowa w Bogusławie Rojskiej, Franciszce Ladysławie Czelakowskiej, Honoracie z Wiśniowskich Zapowej, polce, która poślubiwszy Czecha, osiadła w Pradze i poświęciła się kwestyi kobiecej, chcąc wpłynąć przez wychowanie założyła pierwszą czeską pensję dla dziewcząt. Po niej prowadziła dział wychowawczy Franciszka Swatowa Amerlingowa oraz Matylda Peszkowa.

Praca ich w tym kierunku uwieńczoną została dopiero w 1865 roku, gdy miasto otworzyło „pierwszą wyższą czeską szkołę“ dla dziewcząt w Pradze.

Dalej do szeregu pracowników na niwie postępu kobiecej sprawy i literatury zalicza się gwiżdza pierwszej wielkości Joanna Mużakowa, pisząca pod pseudonimem Karoliny Swietli, oraz natchniona poetka Eliszka Pechowa, używająca pseudonimu Krasnohorska. Obie te panie mają prócz innych zasług założenia stowarzyszenia „wyrobni żęńskiego spólku“, które przez lat 27 wykształciło przeszłe 12 tysięcy dziewcząt w zakresie przemysłowo handlowym.

Niezależnie od tego pani Krasnohorska utworzyła stowarzyszenie Minerwy w celu popierania dalszej nauki kobiet i założyła szkołę odpowiadającą 4 wyższym klasom gimnazjum męskiego, w której kobiety przygotowują się do egzaminu na maturę.

Obecnie sprawa już tak daleko jest posunięta, że 4 minierwistki studują medycynę, a 8 filozofię na uniwersytecie pragskim.

Potem pani Zofia Podlipska, płodna powieściopisarka, której prace cieszą się wielką sympatją czytelników i która nigdy nie odmawia pomocy swej w sprawie miłosierdzia publicznego.

Wienczesława Lużycka Srbova, uprawiająca także z powodzeniem niwę literacką jest prócz tego od lat 25 kierowniczką wykładu robót ręcznych w szkołach.

S. p. Franciszka Kersznerowa-Stranecka, która morawski lud i jego sposób życia badała i opisywała za przykładem Bożeny Niemcowej.

Kobiety redagują też kilku pism jak: „Żenskie listy“, „Lada“, „Czasopis czeskich uczytelek“, „Zdrowi“, „Żenski Swiet“. A do niedawna wychodziły jeszcze „Domaci hospodynje“, „Nasz kraj“ i „Wezelka“.

Na polu filantropii Czeszki są niezmordowane, organizują i utrzymują luźne stowarzyszenia, mające za cel opiekę nad opuszczonymi i zaniebawanymi dziećmi, nad młodzieżą szkolną, nad służbą i t. p. i t. p. Wszystkie te stowarzyszenia, z „Maticą szkolską“ na czele, utrzymują się ze składek, które usilnie zbierają kobiety. Wielką zasługę na polu dobroczynności ma pani Marya Riegrowa Palacka założeniem stowarzyszenia S-tej Ludmiły, dalej córka jej s. p. Marya

Riegrowa Czerwinkowa, fundatorka zakładów „Ochrona“ i „Zasztita“, dla sług i robotnic, będących czasowo bez pracy.

Dalej panie Anna i Józefa Naprstkowe, matka i żona s. p. Wojty Naprstka, Eleonora hr. Kounicowa-Woraczycka, Luiza Oliwowa, Anna Natoliowa, Julia Fontowa-Kusu i inne.

Dopiero od lat 26 zaczęły powstawać stowarzyszenia kobiecie, a już w Czechach i na Morawie liczą ich teraz 180, mają one za cel prócz dalszego kształcenia się dobroczynności, popieranie patriotycznych dążeń.

Chlubą Czech są także zastępy artystek dramatycznych, które odmawiały najpłatatniejszym angażowaniom na obczyźnie, ofiarując swą pracę narodowemu teatrowi, jak panie Anna Kolarowa, Magdalena Hynkowa, Peszkowa-Szwandowa, Henryka Sławińska, Sklenarzowa-Mala, Anna Kubeszowa-Kwapilowna. Pod względem śpiewu i muzyki artystki Czeskie znane są na całym świecie, a od niedawna i w malarstwie dobijają się o palmę pierwszeństwa.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KWIAT PAPROCI

BAJKA

przez ZNICZA.

Przez zbitą masę krzaków leśnego ustronia przedzierało się kilka promieni słońca, które rzuciło złotą plamę na mchy, drzemiące w cieniu drzewa, rozjaśniło ciemność wśród małych traw i roślin, a roje drobnych elfów, duchy wszystkich kwiatów i liści rozpoczęły wesolą gwarę. Swobodnie im było, lekko i radośnie, gdyż promień słońca ze snu ich zbudził, a wiadomo jest każdemu, że ten promień lśniący i złoty przynosi z sobą zawsze tylko uśmiechy do szczęścia, drżenia wesółości i pragnienie życia.

Po tej nitce słonecznej i błyszczącej spłynął do leśnego ustronia wspaniały duch róży, najdumniejszy z pomiędzy wszystkich elfów i witał się ze swoją młodszą bracią; usiadł na złotym promieniu i pogawędka szła dalej w najlepszą. Duch róży wypyttywał się o różne leśne plotki, wydarzenia i tajemnice, w zamian co za opowiadał o nadzwyczajnościach cieplarnianych, ludzkich pomysłach i fantazyach, powolnej śmierci swych kwiatów, zerwanych dla ustrojenia pięknych ścian pałacu, stołu biesiadników, czy też świętego obrazu albo włosów młodej dziewczyny. Przy każdym szczególe kraśniał z radości najpiękniejszą swoją barwą, gdyż przypominały mu się liczne tryumfy, jak zachwycano się urodą jego kwiatu, kształtem i odcieniami, rozkoszowano się zapachem odurzającym, nazywano królową kwiatów, przyrównyując go do najpiękniejszych istot rodzaju ludzkiego.

Naraz głębokie westchnienie przerwało opowiadanie ducha róży. Smutne było, wypłynęło z najciemniejszego zakątka, z pomiędzy mchów i liści zeszłorocznych.

— Kto to wzdycha?—spytał duch róży, nachylając się ciekawie.

— Nie przerywaj sobie, mów dalej. Lubie słuchać, kiedy opowiadasz te piękne historie,—ozwał się głos jakiegoś niewidzialnego elfa—tylko mi się smutno bardzo zrobiło, kiedy twój los z moim porównałem. Mną się nikt nie zachwycił ani rozkoszuje, nikt mnie nawet widzieć nie chce, choć często nieraz koło mnie przechodzi i dotyka.

— Kimże jesteś?

— Kwiatem paproci.

Duch róży zaczął przyglądać się ciekawie nieznanemu sobie dotąd elfowi.

Początkowo nie mógł go prawie dostrzedz wśród traw i liści, ale wreszcie zauważył nikłą

postać, przezroczystą i nieuchwytną, rozplywającą się i w cieniach i w promieniach światła. Ale w miarę, gdy się przyglądał odkrywał w tym dziwnym duchu, coraz to nowe i cudne uroki. Ciało jego utkane było z barw tęczy, suknie mieniły się drogiemi kamieniami, a oczy miały czyste jak krople rosy i odbijało się w nich całe przestworze. Skoro duch róży w przeciwną stronę na chwilę oczy odwrócił, znowu później nie mógł rozpoznać i dopatrzeć małego elfa, dopiero stopniowo i powoli rozpoznawał jego uroki. Tylko napatrzywszy mu się dowoli, spostrzegł, że w każdym promieniu jasności, żywej barwie, w fali zapachu i ożywczym powiewie letniego wiatru, znajduje się jego tysiączne odbicie. Zdziwił się temu bardzo, gdyż nie wiedział, że duch kwiatu paproci jest zarazem geniuszem szczęścia i że obraz jego widocznym jest zwykle w każdym objawie życia i natury, który w sercach ludzkich rozbudza radość i wesele.

— Dlaczego się smucisz? Przecież najpiękniejszy jesteś między nami, największe masz klejnoty i bogactwa. Jeżeli ci człowiek znajdzie, mnie zdepcze, a tobie postawi ołtarze.

— Nie znajdzie, choć ciągle szuka. Przechodzi koło mnie, depcze, zrywa dzikie badyły, myślarz, że to kwiat paproci. Posłuchaj: opowiem ci niektóre szczegóły z mojego życia. Przekonasz się, że prawdę mówię.

Na promieniu słońca, obok elfa róży, usiadł elf paproci i tak powiedział:

— Wy wszyscy szczęśliwi jesteście, gdyż nie tu, to gdzie indziej, zawsze macie swoje kwiaty, możecie się rozkoszować życiem i bujać wśród ludzi. Ale ja, mam tylko raz na rok jeden, jedyny kwiat, który zaledwie kilka chwil istnieje. Ludzie go wtedy szukają po całym świecie, chodzą za nim po różnych skałach i urwiskach, ręce do niego wyciągają, błagają, by zabłysnął, ale nie znajdują. On tymczasem wędnie powoli, niknie i kończy swój żywot krótkotrwały.

Po długich latach takich zawodów ogarnęła mnie wielka tęsknota za tem, aby mnie ktoś wreszcie podjął, do piersi przycisnął, ożywił ciepłym oddechem i życie przedłużył. Powiedziałem sobie: sam się oddam w moc człowieka, u stóp jego złożę wszystkie moje skarby, wszystko szczęście.

Skoro nadeszła noc świętojańska i kwiat mój rozwinął swe listki, upatrywałem człowieka, któryremubym się ofiarował i przyniósł szczęście. Dużo ich się wkoło mnie uwijało, wszyscy mnie szukali, niejednen tuż przechodził, i dotykał nawet, ale szedł dalej. Nie chciałem dawać szczęścia tym, którzy go szukali z czołem dumnym i wyzywającym, jakby im się to szczęście należało z prawa i dziedzictwa, ale upatrzyłem sobie skromnego i biednego pastuszka, który stał na uboczu; nie szukał nawet kwiatu paproci, gdyż nie przypuszczał, że go znajdzie. Idąc koło mnie, zaczął swoim chodakiem o moją lodyżkę, i oderwał. Ja też korzystając z tej sposobności, wsunąłem się daleko w ten jego chodak z silnem postanowieniem nieopuszczania mojej kryjówki.

Pastuszek ani przypuszczał, że nosi mnie przy sobie, i nie wiedział czemu wszystko się wkoło niego odmieniło, i świat, i życie. A ja najpierw z serca jego i myśli wypędziłem różne szare mgły tęsknicy nieokreślonej, niepewności i trwogi przed życiem; pierwszy raz w tę noc świętojańską odczuł i zrozumiał, że życie może być pięknem, mieć uśmiechy szczęścia i radości a natura to źródło czarów, której skarby każdy może czerpać pełną dłonią. Później, stada jego wszystkie i dobytek prowadziłem na najzwyklejsze pola i łąki, plon jego znów obfitszy był niż u innych, nieszczęścia i troski odsuwałem od jego głowy, a najłżejsze, nieuniknione chmurki szybko rozdmuchiwałem w niepamięć. Serca ludzkie lgnęły do niego i otwierały się jak kwiaty promieniom słońca, dziewczęta ślały za nim myśli i westchnienia, a on zgarniał pełną dłonią powodzenie i miłość ludzką. Ale ponieważ był człowiekiem, więc mu się zdawało, że to co ma, nie jest jeszcze prawdziwem szczęściem, postanowił go szukać za górami, u obcych ludzi. Po-

zbył się małego skrawka ojcowizny, i ruszył w świat, a odchodząc zostawił za sobą dawny strój wieśniaczy, i chodaki, w których przebywałem. Pozostałem więc razem z jego wspomnieniami, przeszłością, tradycją ojców i tem, co powinien był mówić, z jego szczęściem, które on porzucał lekkomyślnie. Zdawało mi się czasem że później, wśród powiewów wiatrów jesiennych, rozróżniam jego smutne westchnienia tęsknoty za tem co porzucił, ale niczem nie mogłem ukoić tego żalu, gdyż w księgach losu powiedziano, że kwiat szczęścia raz tylko zakwita w życiu człowieka.

— Czemu nie oddałeś się jakiemuś człowiekowi więcej ukształconemu—rzekł duch róży—ten pastuszek nie mógł rozumieć swego szczęścia.

— Różnie bywało. Kiedy indziej znów spuściłem się na kaprysy wiatru. Pozwoliłem mu unieść się na jego skrzydłach, rzucał mną jakiś czas w różne strony, nareszcie zaplątał we włosy młodej dziewczyny. Szczęśliwy byłem z takiego losu, przypuszczałem, że młode i wrażliwe serce od razu zrozumie mnie i odczuje. To też nie szczędziłem jej żadnych moich skarbów, otoczyłem blaskiem urody i bogactwa, uprzedzałem wszystkie pragnienia i marzenia, myśli jej kołysałem wśród snów najpiękniejszych, ze światła i tęczy, a śladem jej spojrzeń rozniecałem gorące uczucia. Chciałem wreszcie dać jej największe szczęście, jakie było w mojej skarbnicy. Drogię jej życia zbliżyłem do drogi duszy jej pokrewnej, młodzieńca, w którego sercu złożyłem cudny dyament szczerzego uczucia. Ale moja wybranka nie dostrzegła tego dyamentu. Zapatrzyła się w inne uczucie, które ją zwabiło szmerem swoich lekkich skrzydeł motyli i sztuczną barwą. Skrzydła te były nadzwyczaj filigranowe, unosił je każdy najłżejszy powiew wiatru, a moja piękna dziewczyna robiła napróżno wysiłki rozpaczliwe, barwnych skrzydeł nie mogła pochwycić w swoje dłonie.

I w pogoni tej oddała się od tego szlaku, na którym leżał cenny dyament, wreszcie stała się dla niego zupełnie niewidzialną, a tamto nikłe uczucie wciąż przed nią uciekało. Skoro widziała, że już nie uchwyci tego, co jej się szczęściem wydawało, chciała posłać za nim jakieś swoje wspomnienie, pamiątkę. Odcieła więc swój włos, w który byłem zaplątany. Ze zwojem tym uleciały w dal wszystkie jej myśli, marzenia i nadzieje, całe jej szczęście i spokój serca.

Włosy wiatr rozwał w różne strony, a ja znalazłem się na ziemi, znów odrącony i zapomniany.

— To była płocha dziewczyna—przerwał znowu duch róży z pogardliwym wzruszeniem ramion—trzeba się oddawać tylko takim ludziom, którzy byliby godni swego szczęścia. Słuchaj, przyjacielu, poprobuje teraz innej drogi, zwiąż swój los z moim losem i razem odbądźmy pielgrzymkę między ludźmi. Są wśród nich podobno tacy, których dusze piękniejsze są od dusz całego tłumu, gdyż kiedy je Bóg stwarza, to każdy z dobrych elfów, geniusz wszystkich kwiatów i woni, cudnych ustroni i barw czystych przynoszą im w ofierze jedno swoje westchnienie serdeczne, i składają na dnie serca. Ludzie tacy nazywają się poetami. Przy takim człowieku będziesz się czuł jak w swojej krainie, bo czyż kraina piękna nie jest przybytkiem szczęścia, którego jesteś wyobrażeniem? Z moich kwiatów poetom tym wieniec spletają, kładą je na ich skroniach, albo rzucają pod stopy, skryj jeden kwiatek paproci między listkami róży i szukajmy poety, aby go zrobić szczęśliwym.

Duch róży wziął w swe objęcia małego elfa paproci i uleciał.

Rozglądali się po różnych stronach świata wreszcie, wsunęli się na dno róży przeznaczonej do wienca dla poety. Niedługo czekali. Wieniec spłotła jakaś życzliwa ręka i ofiarowała wieszczowi nieznanemu. Lecz skoro tylko na skroni jego znalazła się róża z ukrytym w niej kwiatkiem paproci na czoło tego spłynęła wspaniała gwiazda wielkiego natchnienia. Więcej miała blasków aniżeli dyadem monarchy i więcej miała potęgę, gdyż promienie jej nie tylko

rozsyłały jasność i światło, ale grały na ludzkich sercach, jak na strunach arfy harmonijnej, wywoływały łzy i uczucie serdeczne. Zachwyt sława i powodzenie kładły się pod jego stopy, niczego nie potrzebował pożądać, życie jego było pięknym poematem. Ale jednego dnia ujrzał górę złotą wyrzuconego z wnętrza ziemi i przyszła mu myśl zdradziecko:

— To złoto byłoby dla mnie dopiero prawdziwym szczęściem, możnaby kupić sobie za nie szal życia i użycia.

Zbliżył się do niego zaraz właściciel tej góry i umówili swoje warunki. Każdy z nich dawał masę złota, ale żądał wzamian choćby jednego promienia, pyłku ze wspaniałej gwiazdy geniuszu błyszczącej nad czołem wieszczą. Jeden chciał ustroić weń swoją próżność i pyszałkowatość, drugi, rozjaśnić wspomnienie ciemnych postępów, inny chciał nakryć kał życiowy, do którego wabił lekkomyślnych. Poeta zaś zadowolnić chciał wszystkie ujemne strony i słabości posiadaczy złotej góry, zdjął więc z nad czoła swojego uroczą gwiazdę natchnienia, rozkruszał ją na atomy i obdzielał nimi kupców złotodajnych. Nie zauważył jednak wcale, że skoro ją zdejmował, zleciała na ziemię jego kwiat szczęścia, kwiat paproci. Pozostał mu na skroniach tylko wieniec z róż, a gdy ten wieniec do skroni przycisnął kolce róży boleśnie zakłuły go i zostawiły ślad krwawy, gdyż kwiat paproci zdala już był i nie chronił od bólu i niepowodzenia.

Tymczasem duch owego kwiatu powrócił znowu w lesne ustronie, mówiąc do ducha róży, że temu teraz tylko odda szczęście i skarby, kto go sam znajdzie. Wtedy tylko będzie prawdziwie upragnionym, drogim i zrozumianym, gdyż inaczej, skoro szczęście samo staje obok ludzi to go nie widzą, a ręce wyciągają za marą i ułudą. I niewiadomo, teraz gdzie się skrył. Może go ktoś w tym roku znajdzie, a może już znalazł, tylko się z tem nie zdradza, gdyż prawdziwe szczęście nie lubi oczu natrętów.

POGAWĘDKA.

Przy olbrzymim rozroście miast, zdaje się, że życie danego społeczeństwa w nich się tylko skupia, że one są jego sercem, do którego zbiegają się wszystkie arterye, zasilać je krwią swoją; zdawałoby się też, że znając życie i czynności dajmy na to, takiej Warszawy, jest ona wyrazem całego ogółu, że kraj tak samo myśli i czuje.

I rzeczywiście—taka Warszawa była zawsze sercem i głową wielkiego obszaru ziemi, patrzano na nią, wsłuchiwno się w jej tętno i nie raz jeden dyktatorskiego jej głosu słuchano.

Nie przeczymy, że w wielu, a w wielu wypadkach głos przewodniczy jest potrzebny. Ale i przewodnik czasami błądzić może i nie raz jeden fałszywy piosenkę zaśpiewać. W takich chwilach zdrowa myśl ogółu powinna przyjść mu z pomocą i nie zawsze pacierz za panią matką powtarzać.

Znużony pracą, upałami i dusznością Warszawy wyruszyłem daleko, daleko za jej granice miasta, ażeby zasilić płuca aromatem łąk i pól, skapać się w czystym powietrzu wiejskiem, doświadczyć się zresztą jak tam ludzie na prowincji żyją, myślą, o czem mówią, jak czują, czy czują zresztą.

Czują—i to mnie ucieszyło. Powiem nawet, że czucie ich jest zdrowsze, spokój rozumniejszy, wytrawniejsze sądy, godność większa i miłość większa. To, czem się tu czasem pomiata, tam jeszcze jest przechowywane z czcią religijną; głos nie jeden, który tu uchodzi za śpiew synogarlicy, tam wcale nim nie jest; wierzą silniej w mądrość Bożą, niż w przewrotność rozumów ludzkich, nowych pacierzy uczyć się nie chcą,

nowym nie ufają modlitwom, bo bądź co bądź, dawne o niebie mówiły, a dzisiejsze o jakimś półniebie.

Nie jestem *par excellence* konserwatystą, wierzę w postęp, znoszone szaty z należnym dla nich szacunkiem odkładam nieraz na bok—ale w wielu wypadkach konserwatyzm jest rzeczą konieczną, pocziwa, stara szatka chroni lepiej od przeciągów różnych, które mogą mózg i serce sparaliżować. Podobne zaś paraliże dość często w Warszawie się obecnie przytrafiają, — ale wieś wolna jest od nich, chroni ją może szum lip prastarych, mających głosy dziwne, może te soki ziemi, z której rolnik czerpie zdrowie i siły, albo ja wiem zresztą co, lecz każdy akord fałszywy, jaki ztąd do nich zaleci, zrozumiany jest, odczuty, osądzony i odsądzony czasami.

„Wieś aniołowie, miasto ludzie zbudowali“ dawna sentencja powiada,—trochę więc tego anielstwa wziąłem w pierś swoją i pokrzepiony na duchu, wzmożony na siłach wróciłem do gwaru miejskiego, do zwykłej pogawędki z wami, szanowni czytelnicy, o sprawach codziennego naszego życia.

Przechadzając się po mieście musimy oczywiście zajrzeć do Muzeum rzemieślniczego, dokąd nas wabi otwarta niedawno wystawa introligatorska, którą zawdzięczamy gorącemu zakrzętanu się p. S. Dicksteina.

Nic na miejscu nie stoi, wszystko się rozwija i idzie naprzód—wzrasta też i poczucie piękna, które obok pożyteczności niemal na równi staje, tak, że nie dość nam już mieć książkę użyteczną, chcemy jeszcze ją widzieć ubraną w piękną szatę. Nie powiem jednak ażebyśmy pod tym względem wyprzedzili ojców naszych. Wymyśliłiśmy różne maszyny, ułatwiające zadanie; (pan Jakób Fajans przedstawił nam cały szereg podobnych maszyn)—widzimy pośpiech w robocie, dokładność w wykonaniu, piękność deseni, wytworność złoceń—ale, co obecnie maszyny robią, dawniej wykonywały cierpliwe ręce ludzkie, wykonywały znacznie powolniej, lecz nie mniej pięknie. Ojcowie nasi nie byli barbarzyńcami i pod tym względem, pozbawionymi poczucia piękna—o czem świadczą oprawy z wieków odległych (XV, XVI i XVII) mszały i książki do nabożeństwa, przedstawione nam tu przez ks. Czertwertyńskich lub z bibliotek hr. Potockich, obecnie Branickich z Willanowa, Przezdzieckich i z pięknych zbiorów p. Mathiasa Bersohna.—Podziwiać można wspaniałe a misterne wybicia na skórze pergaminowej, dziwną delikatność rysunku, bogactwo pomysłu i subtelność wykonania. O trwałości już nie wspominamy, bo o tem kilkasetletnie istnienie takiej oprawy coś mówi.

W ogóle, gdy dawniej coś robiono, to zawsze z myślą o dalekiej przyszłości. Jak prastare budowle nie rozsypują się zbyt łatwo w pył, co się często dzisiejszym kamienicom przytrafia, tak i stare książki się nie drą, przetrwały wieki i wieki przetrwają.

Ze wzrostem wiedzy, wzrosły potrzeby—praca rąk jużby zadość im nie uczyniła, musiały w pomoc przyjść maszyny i stać się posłusznymi woli człowieka.

Machin tych na wystawie widzimy kilka, możemy łatwo przypatrzeć się i pod tym względem dokonaniem postępowi. Ale—wszystkie one noszą zagraniczną pieczęć, choć pocieszył nas p. Zawadzki, pokazując parę maszyn krajowego wyrobu. Powoli więc, lecz i my się ruszamy naprzód, wytrwałości tylko a dobrej woli potrzeba.

Lecz nie dość nam widzieć *jak* się oprawiają książki, musimy zobaczyć *czego* do oprawy potrzeba. To nam właśnie pokazują pp. Witkowski i Hordliczka, przedstawiając zbiór faktur, fabryka Mirkowska papiery i desenie, Żyrardowska płótna i półpłótna, a jedwabie przedalnia Bogucińska.

Wystawa introligatorska nie jest specjalnie naszą. Oprawa zagraniczna książek prym tu trzyma, ale wyroby p. Chodowieckiego pomieszczone w witrynach i gablotkach, nie ustępują wcale zagranicznym. Sliczne też nam rzeczy pokazali pp. Kantor, Bajer, Bojanowska, May-

baum i inni, dział zaś galanterii introligatorskiej jako to: pudełka, albumy, nessesery, ramki, notesy, portmonetki, portfele i t. d. pokazane nam przez p.p. Drozdzieckiego, Thies'a, Chodowieckiego, Kurmana i Neumanów—mogą o lepsze z wyrobami zagranicznymi walczyć, nie lekając się wcale konkurencji.—Bądź co bądź, wystawa introligatorska zająć każdego powinna, komu na sercu leży rozwój krajowego przemysłu, boć przecie nas cieszyć powinien każdy postęp, na rozmaitych polach pracy uczyniony.

Z Muzeum przemysłu i rzemiosł, warto byłoby się udać na plac wystawy inwentarza i coś o tem czytelnikom moim powiedzieć. Wędrówkę tę jednak musimy odłożyć na później, bośmy nie zdążyli jeszcze przyjrzeć się dokładnie tej drugiej wystawie. Tam już będziemy mieli do czynienia z bogactwem krajowym, z pięknymi okazami krów, koni i—nierogaczyny.

Wystawa ta jest dziełem Towarzystwa Wyścigów, które odwiedzając się za dobry obrót totalizatora, chce nas zapoznać z gospodarskim dorobkiem kraju.

Ale co będzie, gdy totalizatora zabraknie?—a na dobre zabrano się do tego jegomościa. „Kurier Codzienny” z pewnego źródła podaje wiadomość, że „główny zarząd stadnin rządowych zwrócił rzeczywiście uwagę na ogromny hazard, jakiemu oddają się szerokie masy. Podniesienie stawek do rs. 10 miało właśnie na celu ograniczenie gry, tymczasem reforma ta wywołała skutek całkiem przeciwny, gdyż obroty znacznie się w totalizatorach zwiększyły. Obecnie, na próbę, na rok jeden, stawki znowu mają być zmniejszone do rs. 1, 3 i 5. Inowacya ta ma być wprowadzona w roku przyszłym. Ministerium jednak spraw wewnętrznych przychyliło się do wniosku zupełnego skasowania totalizatorów.”

Myśmy słyszeli, że obecne wyścigi przyczyniły się do wielu nieszczęść i klęsk. Pragnienie zdobycia łatwym sposobem grosza pociągnęło do gry hazardowej ogromną ilość lekkoduchów,—rodzin kilka, mających skromne lecz dostateczne utrzymanie, ujrzało się nad dnem przepaści, parę samobójstw nawet z powodu tego zanotowano, parę małżeństw się rozeszło, a wiele to złych rozbudziło się instynktów?—Gorączka hazardu poruszyła nawet tłumy pracowników przy fabrykach i rzemieślniczych zakładach. Opowiadano mi, że w jednym zakładzie bronzowniczym, w dniu popisów skakunów na mokotowskim polu, ani jednego z terminatorów nie było,—każdy z nich, co mógł, zarwał grosza i podążył na plac, gdzie namiętna, a zawsze zawodna fortuna, uśmiecha się. Zło więc się rozszerza, a zło nie małej wagi; rak łatwego, a nieprawego dorobku zaczyna toczyć szerokie warstwy społeczeństwa, tu już nie morały, nie zmniejszenie stawek pomoże, lecz wprost nóż chirurga. W imieniu ogólnej moralności, totalizator powinien być zniesiony. Półśrodki nie nie pomogą, jak nie pomogą tam słowa, gdzie cięć topora potrzeba. Zaraza się rozszerza, znam nawet osobiste panie i panny, które z niepojętą dla mnie gorączką wybierają się na wyścigi i—próbują szczęścia przy okienku totalizatora.

Zawód!

A no—nie!

Za parę dni łaskawszą okaże się fortuna.

Tymczasem fortuna drwi z zamiarów ludzkich,—pozostawiając w sercach niedobrej namiętności nasienie.

Nie wiem, czy jest prawdą, lecz grono osób do żywego złem tem dotknięte, miało jakoby do władzy prośbę podać, o ucięcie wprost głowy żarłocznemu smokowi.—Nic że sami bez nakazu z góry uczynić nie możemy?

Widząc utracę dusz i ludzi małej woli i hartu trwoniących dziesiątki, setki i tysiące k'woli głupiemu hazardowi—jak boleśnie o serca nasze uderzają słowa Prusa, przedstawiające nędzę na poddaszach i w suterrenach miasta naszego kryjącą się.—Parę rzuconych bezmyślnie stawek na takiego a takiego wyścigowca mogłoby niejedną łzę obetrzeć, dodać do życia otuchy, wstrzymać rozpaczny krok ku szarej Wiśle zwrócony.

Autor kronik powiada:

„Czy ty wyobrażasz sobie, czytelniku, te mieszkania w suterrenach lub na strychach i te nieszczęsne matki, obowiązane karmić po czworo lub sześćcioro dzieci?”

A czy spotykałeś w salonach takie przyjaciółki, które przyjaciółce swojej pielęgnowałyby rakowatego męża, albo stare sługi, które towarzysząc „państwu,” aż do grobu nędzy wyjątkowej?

Ale to wszystko nie. Bo czy ty wyobrażasz sobie te biedne, zasypane dziećmi rodziny, które w ciasnej izbie muszą mieszkać z rakowatym, obłąkanym, sparaliżowanym lub suchotnikiem?

I czy nie sądzisz, czytelniku, że społeczeństwo, nie popełniłoby błędu, postarawszy się o przytułek dla tych nieszczęśliwych, którzy są straszną klęską dla swych rodzin, poważnem niebezpieczeństwem dla całego społeczeństwa, a których, podobno, *dwie tysiące* dogorywa w samej Warszawie?

Pytam się: duchownych, wielkich panów, kupców i przemysłowców, szlachty, intelligencji miejskiej, chłopów, rzemieślników, sklepikarzy i wyrobników: czy nieszczęsne rodziny, obciążone nieuleczalnie chorymi, nie zasługują na litość i—czy przytułki dla tego rodzaju chorych nie stanowią ważnej potrzeby społecznej? Nie mówię pierwszorzędnej, ale ważnej, którą przy sposobności należałoby w stanowczy sposób rozstrzygnąć.

Pomyślcie o tem a nadewszystko przypomnijcie sobie te wielkie słowa, które od 19 wieków jak aniołowie unoszą się nad narodami.

„Błogosławieni miłośnierni, albowiem oni dostąpią miłosierdzia.”

2,000 umierających z nędzy—to ogrom!

Ale zaiste nie masz przesady w tych słowach.

Z nadejściem lata, zawitała w sercu ubogiej działwy radość z powodu wyjazdów na kolonie letnie. Towarzystwo dobroczynności uskarżać się nie może, ażeby nie znalazło poparcia i w roku bieżącym. Dzieci z przytułków różnych wyruszyły już lub wyruszą gromadnie, by zdrowia na letnich siedzibach zaczerpnąć. Dowiadujemy się więc, że „dzieci z przytułków przy ulicy Hożej już wyjechały do wsi Drzewce w sąsiedztwie Rudy Guzowskiej na całe lato, że księżna Zdzisławowa Lubomirska, jak w roku zeszłym tak i teraz podejmować będzie we wsi Zalesie pod Grójcem sierotki z przytułku Św. Rodziny, utrzymywanym kosztem p. Heleny Zbranieckiej; że ksiądz Stefan Lubomirski przyjął we wsi Uchańce za Rejowcem wychowanki przytułku Św. Józefa, którego założycielką jest p. Bronisława Sobolewska. Panna Helena Trusiewicz ze swoim przytułkiem Św. Antoniego przepędzi lato we wsi Kluczkowice, korzystając z gościnności pani Janowej Kleniewskiej. Sieroty z Krakowskiego-Przedmieścia wyjadą do Mieni niedaleko Nowo-Mińska, a chłopcy z przytułku Jachowicza do swojej kolonii Drewnicy pod Markami. Przytułek Św. Małgorzaty, mieszczący się za rogatkami wolskimi przy ulicy Fortowej, w miejscu otwartem korzysta z dużego ogrodu, który uprawiają nawet wychowanki. Sieroty chłopcy z przytułku hr. Maryi Zamoyskiej wyjadą do wsi Rucice w pow. grodzickim. Tylko jeden przytułek Św. Zofii z ul. Pięknej założony przez siostry Michel, będzie musiał lato przepędzić w murach Warszawy, jeżeli jaka dobrodziejka nie zaprosi sierot do siebie na lato.”

A lato, po paru dniach chłodu, zapowiada się upalnie; a wiecznie stojąca się Warszawa obdarcza nas kurzem i nieporządkami różnemi. Robi się to wszystko dla wygody mieszkańców, ale nim święta tego doczekamy się, kto może niech w porze letniej ucieka z Syreniego grodu.

??

W DNIACH SZARYCH.

Jaroslawa Vrchlickiego *).

W dniach szarych, gdy ci wszystko mgła po-
Słońce i miłość i przyjazną rękę, [wleka
Gdy przystań celów, zda się, w dal ucieka
I ciężiej czujesz unuzenia mękę,

W dniach szarych innych nie obwiniaj wcale,
Lecz się własnego serca zajmij winą,
I inni idą jako ty w upałe,
I inni również przeciw wodzie płyną.

Jednaka gorycz im na ustach siedzi,
Równego muszą wyrzec się wesela,
A na pytania takie odpowiedzi
Nadzieja złudna i im nie udziela.

Choćby na ciebie kamieniem rzucili,
Jednak to bracia twoi w złej niedoli,
Jedno was źródło skrzepi i zasili,
Jeden świt zażyć szczęścia wam dozwoli.

Dziś grot urazy i im serce kraje,
Lecz mus wyznaniu prawdy się przeciwi,
I zdrajca cierpi, gdy prawdę sprzedaje,
Żli ludzie zawsze bardzo nieszczęśliwi.

Kiedy się w czarze pieni nektar boski,
Człek sobie wrogów zyskuje do woli,
I myśli z dumą: i te zniosę troski,
Potem obraza każda serce boli,

Cierń każdy później czuje dobrze noga,
A więc w dniach szarych, w niepogodzie trwałej,
Innych ból w sercu miej, swój zdaj na Boga,
A poznasz wkrótce, jak twój ból jest mały.

Przełożył z czeskiego

Bronisław Grabowski.

NA ŁASCE

POWIEŚĆ

przez

M. N. Sas - Junoszę.

(Dalszy ciąg).

XV.

Kilka dni jeszcze przemęczyła się hrabina w Wasilcach—przemęczyła—bo chociaż, dzięki prośbom Janiny, zmieniono postępowanie i podczas gdy wszystko wróciło do dawnego trybu—nikt nie dawał uczuć pani Żarnowieckiej, że przestała być pierwszą osobą w domu krewnego, ona gryzła się ciągle wewnętrznie i sam widok zamożności i wspaniałości, która ją otaczała a która dzięki Janinie z rąk jej się wymknęła, do rozpacz ją doprowadzała.

*) Ze zbioru „Okna w burzy,” z oddziału „Smutna mądrość.”

Natalia, w pierwszym dniu zamknięta w sobie, a raczej w swoim rozszarowaniu—przybrała znowu rolę powiernicy hrabiny, chętnie wyszukując sposobność szkodenia Janinie.

— Pani sądzi, że ona na prawdę taka bardzo zakochana?—mówiła raz gdy były same, z drwiącym uśmiechem. — Zobaczyćlibyśmy, gdyby pan Roman nie miał majątku...

— Być może! chociaż nie mogę powiedzieć, żebym ją kiedy mogła posadzić o interesowność...

— Trzeba ją było widzieć pierwszego dnia po naszym tutaj przyjeździe!—zawołała Natalia porywczo. —Obudziłam się rano, bo nie mogę zwykłe spać po podróży—ale ona wstała jeszcze wcześniej... Otworzywszy okno w moim pokoju, widziałam ją, zupełnie ubraną—uczesaną starannie, biegającą po ogrodzie i rozglądającą się ciekawie... Nie tracąc czasu, robiła przegląd przyszłych posiadłości...

— Co?... — rzekła hrabina niedowierzająco, — *non, vous m'étonnez!*

— Tak! wszystko było naprzód ukartowane, jeszcze przed naszym wyjazdem z Żarek... dziwię się, że pani nic nie zauważyła!

— Owszem, uważałam ale mi się zdawało, że ze strony Romana, *il s'agissait d'une simple amourette...*

Pani Żarnowiecka mówiła tonem żalu... ta kobieta, żona, matka, szanowana powszechnie, byłaby pozwoiliła, żeby jej kuzyn zawiązał w jej domu romansik z ubogą towarzyszką jej córki?... nie miałyby nie przeciw temu?... Tak! ale dodajmy na usprawiedliwienie hrabiny, że mówił przez nią tylko żal, z powodu zawiedzionych nadziei...

— Gdyby o to chodziło, — dodała natychmiast, — byłabym radę znalazła... miałam sposób gotowy: odesłać Janinę bratu. Ale nigdy nie myślałam, *que cela deviendra sérieux...*

Natalia, uśmiechając się ironicznie, przytaczała hrabinie rozmaite wypadki, fakta, na poparcie dowodu, że „intryga“ jak mówiła—pomiędzy Janiną a Romanem dawno już była zawiązana.

— Nie ręczę, — dodała w zapale, — czy panna Janina nie wpłynęła na Kamilkę, żeby jej zbrzydzić pana Romana, o którym wiedziała dobrze, że jest prawie jej narzeczonym...

Tym argumentem, rzuconym na wiatr, zupełnie przypadkowo, najwięcej trafiła do przekonania pani Żarnowieckiej, zakorzeniając w jej sercu jeszcze jedną urazę do biednej, niewinnej sieroty...

Zemsta Natalii się rozpoczynała...

Dzień odjazdu do Żarek został wyznaczony; państwo Waliccy zapowiedzieli swoje przybycie więc trzeba było pośpieszać.

Ostatniego dnia pobytu w Wasilcach, pani Żarnowiecka musiała poddać się jeszcze jednej nieprzyjemności. W poufnej i bardzo serdecznej ze strony starego pana Bronimirskiego rozmowie, nalegał ten ostatni na konieczne oznaczenie dnia ślubu Janiny z Romanem... Przeprowadzona do ostateczności, pani Żarnowiecka się zgodziła, żeby dwa śluby, — Kamilli i Janiny odbyły się razem... co do terminu, miała się umówić z rodzicami pana Stanisława.

— *Vous tenez donc absolument à ce mariage?* — spytała w końcu, nie mogąc opanować niezadowolenia.

Stary popatrzył na nią ze zdziwieniem.

— Nie rozumiem kuzynki... — rzekł. — Jakże by mogło być inaczej? co za powód do zmiany zdania?

— Ależ bo, w ogóle... w ogóle... cała rzecz taka dziwna!—mieszkała się. — Nie narzucam kuzynowi mego zdania, nie myślę wpływać na to co jest już *une chose arrêtée...* Ale czyż to żona dla Romana? dla Romana... który mógłby otrzymać rękę najpiękniejszej jakiej *héritière y...* Co świat na to powie?

Pan Bronimirski kiwał głową z uśmiechem.

— Bywały w naszym rodzie piękne, bogate, ze znakomitych rodzin żony, — rzekł z wolna, — ale czy zawsze było szczęście?... Ja pragnę żeby mój syn był szczęśliwym... Ród nasz nie będzie splamiony, jeżeli ostatni z Bronimirskich pojmie za żonę ubogą szlachciankę, która szczęście wnie-

sie w dom jego... a co świat powie? to mi już od dawna obojętne. Bo uważasz, kochana kuzynko... nie niema głupszego jak świat i jego gadanina... Czy komu kiedy podoba się to, co ktoś zrobi lub jak postąpi? czy kiedy uczynki ludzkie obejdują się bez komentarzy? Ludzie próżni; nie mają po największej części o czem mówić i dlatego zajmują się sprawami drugich.

— Rzeczywiście... — przyznała hrabina, nie mogąc zaprzeczyć uwagom kuzyna. — *Mais enfin*, bywają jak zwykle wyjątki z reguły ogólnej... Człowiek który się żeni, powinien myśleć o tem co jest winien społeczeństwu... pomyśleć o dzieciach, które mieć może i które będą później tworzyć to społeczeństwo—powinien pamiętać, że te dzieci... muszą zachować ten sam typ, zwyczaj... nie wyrażać się...

— Czy sądzisz, kuzynko, że dzieci Romana wyrodzą się jeżeli matką ich będzie Janina Strzelicka, zamiast jakiej hrabianki lub księżniczki?—spytał z niejakią ironią pan Bronimirski.

Pan Bronimirski miał dziwnie nieprzyjemny sposób detonowania pani Żarnowieckiej... Nie! oni chyba nigdy się nie rozumieją!

Westchnęła biedna...

— Mój kuzynie... — rzekła, — twoje pojęcia są tak bardzo różne od moich... comnie mocno dziwi—że chyba nie mamy o czem dysputować!

— Moje pojęcia są postępowe, a kuzynki zacofane, — odrzekł z uśmiechem. — Zresztą, *sans rancune...* prawda?

Wyciągnął rękę i kiedy pani Żarnowiecka podała mu swoją z niejakim przymusem, z galanterią podniósł ją do ust.

— Tak, tak, droga kuzynko, wyprawimy wesele naszym pannom a nawet ja stary kaleka do Żarek przybędę na te uroczystości!

— Miło mi będzie widzieć kuzyna u siebie, — rzekła pani Żarnowiecka z westchnieniem, — ale przyznam się, wolałabym nie w takich okolicznościach... Nie wiem czemu — ale małżeństwo Kamilli mnie straszy... obawiam się... o materialną stronę!

Pan Bronimirski uspokajał obawy kuzynki, ujęty troską matki o los dziecka.

— Kochają się, to najważniejsze — mówił — Patrz, kuzynko, czy to nie jest przyjemny i pocieszający widok?

Ukazał ręką na szeroko otwarte okno w pokoju, po za którym, na dworze, przechadzali się narzeczeni. Ona oparła rękę na jego ramieniu i tuliła się do niego z ufnością, patrząc mu w oczy, uśmiechając się. Stanisław ujął drugą jej, wolną rączkę i co chwila piścił pocałunkami; rozmawiali z ożywieniem, całkowicie w sobie zatopieni.

*

*

*

Roman odprowadził panie do Żarek, nie krępowany przez ojca, który uznawał za rzecz zupełnie naturalną, że syn pragnie jak najdłużej być z ukochaną i dał mu urlop na czas nieograniczony.

Roman otrzymał właśnie wiadomość od Władysława, który był wraz z ciotką wyjechał do Lwowa, że w tych dniach wracają do Żarek. Panna Olimpia zamierzała się pakować i stanowczo porzucić swoją szkołę; załatwiła pomyślnie interesa w mieście, a teraz tylko chodziło o ostateczne przeprowadzenie, w czem jeszcze Władysław musiał jej przyjść z pomocą. Potem już całkowicie odda się na usługi księcia.

W liście swoim, rządząc się wygórowaną delikatnością, Władysław nie czynił żadnej wzmianki o Janinie, ani o zamiarach względem niej Romana... Wypadało więc Romanowi postąpić z równą delikatnością i ustnie, samemu, zawiadomić Władysława o ostatnich wypadkach.

Państwo Waliccy zjechali do Żarek; zostali przyjęci nader uprzejmie, ale zabawili nie dłu-

go... Niestety! pomimo serdeczności okazywanej przez obie strony, panią Żarnowiecką i państwa Walickich spotkał niemiły zawód co do spraw pieniężnych.

Z jednej i z drugiej strony spodziewano się więcej... posag Kamilli był wprawdzie czysty, ale nie wielki; majątek państwa Walickich mocno nadszargany... Ostatecznie, żyć, nawet dostatnio będzie można—ale koniecznie z rachunkiem i oszczędnością, a to nie dogadzało ani pani Żarnowieckiej, która marzyła o milionach dla córki, ani państwu Walickim, nie znającym się ani na rachowaniu, ani na oszczędności.

Kwaśne więc panowały humory, przymus wkraśl się w przyszły stosunek rodzinny; ale o zerwaniu mowy być nie mogło, bo młodzi ze wszystkiego byli zadowoleni i śmiali się z obaw starszych.

Można sobie łatwo wyobrazić, w jakim stanie była hrabina! nie! rzeczywiście, od jakiegoś czasu nadto już ciosów waliło się na jej głowę... Małżeństwo Romana, utrata Wasilec i ta głupia Kamilla zadowolona, że z głodu będzie marla ze swoim ukochanym Stasiem!

Ostatnich dni pobytu państwa Walickich, gdy ją męczono szczegółowym ułożeniem programu przyszłego życia państwa młodych, stawiając egoistyczne warunki, hrabina myślała nieraz, że zółć ją zaleje lub apopleksya zabije... Państwo Waliccy, dość jeszcze młodzi stosunkowo do syna, oddawali Stanisławowi majątek ziemski—mocno odłożony jak wiadomo—wymagając utrzymania dla siebie.

Posag Kamilli musiał być użyty w części na spłacenie długów, i zhipotekowany na majątku męża. Wprawdzie pani Żarnowieckiej zostawały Żarnki, majątek, dość znaczny, który naturalnie po jej śmierci miał przejść na własność córki, jednak układ podobny nie zadawał hrabinie, która ze wstrętem myślała, że pieniądze Kamilli muszą płacić długi rodziny męża.

Za te wszystkie niepowodzenia, kłopoty i nieprzyjemności, odpowiadała naturalnie Janina. Podczas gdy hrabina kłopotce się o przyszłość córki, ona, dziewczyna na łasce, przychodzi do milionowego majątku, ona, nie posiadająca nic, nawet wyprawy! nie jest że to oburzające?

Dopóki Roman był w Żarnkach, obchodzono się jednak z Janiną oględnie, nie dając jej tak dotkliwie uczuć krzywdy jaką wyrządziła pani Żarnowieckiej.

Ale Roman odjechać musiał. Ślub został oznaczony na Kwiecień w roku przyszłym; państwo Waliccy tak ułożyli a wiadomo, że dwa śluby odbyć się miały razem.

Najprzykrzejsza chwila dla Romana rozmowa z Władysławem—nadspodziewanie dobrze poszła. Władysław sam, z dobrocią i prostotą, rozpoczął, składając życzenia Romanowi. Nie było w nim widać ani cienia żalu, niechęci, ani zazdrości. Młody człowiek przewalczył namiętne uczucia, kierując myśl i siłę woli do innych szlachetniejszych celów i dążeń, wykołejony rozbił widział przyszłość przed sobą, chorobliwy nastrój pierzchnął a wraz z nim pesymistyczne usposobienie i niezdrowe marzenia. Wrażliwa natura jego w połączeniu z miękkim charakterem, potrzebowała podniety, a nie posiadając wrodzonej inicjatywy, poddawała się łatwo wpływowi obcym; to też wpływ rozumnego i względnego księcia obudził w nim szlachetne instynkta, wyprowadzając z apatii, z której sam dźwignąć się nie miał siły. Zawsze tak bywa, że jednych nieszczęścia hartują, drugich w apatie pograżają; Władysław do tych ostatnich należał i byłby może zmarniał całkowicie gdyby nie szczęśliwy traf poznania Romana, a przez niego księcia Brunona.

Uspokojony co do przyszłości młodzieńca, którego szczerze polubił, Roman odjechał do Wasilec, aby korzystać z ostatnich chwil pobytu Brunona.

Janina usiłowała być spokojną przy pożegnaniu z narzeczonym, ale w duszy czuła smutek okrutny... Teraz, gdy miała zostać samą, bez

jego opieki, straszno jej czegoś było. Wyrzuciła sobie w głębi duszy, że nadto przywiązała się do niego, tracąc niejako zwykle swoje usposobienie do samodzielności; a tak jej dobrze było, tak błogo, czując, że ma przy sobie duszę, która jej jest całkowicie oddana! Jak ona teraz zostanie bez niego i co ją czeka?... Och! była przygotowana, że hrabina słodką dla niej nie będzie, ale postanowiła znieść wszystko w milczeniu, z godnością i cierpliwością.

W ogóle dla cichej i skromnej Janiny zaczęło się nieprzyjemne życie. Po powrocie hrabiny sąsiedzi odwiedzali Żarnki zaczęli, jak zwykle, i gruchnęła po okolicy wiadomość o podwójnych zaręczynach w domu pani Żarnowieckiej. O ile małżeństwo Kamilli przyjęte zostało jako rzecz zwykła, powszednia, bez zadziwienia, o tyle świetny los jaki gotował się dla biednej sieroty podniósł jeden, długi i przeciągły okrzyk zdumienia na kilka mil wokoło.

— Ludzie!... ludzie!... — myślała sobie Janina z goryczą, — jacyż oni dziwni!...

Tak, dziwni w istocie! Ci, którzy jej nie zauważyli dotąd, starali się o jej względy, zapraszali do siebie, ośmielali, prawili komplimenta... Na niejednej twarzy czytała zazdrość, na niejednych ustach, w słowach i uśmiechu przeczuwała fałsz i kłamstwo... Byli tacy, którzy nie kryli się z szyderstwem; do tych należała całkiem otwarcie pani Adela, ale bez udziału brata. Ten ostatni, gdy się dowiedział, że Janina po słowie z Romanem, zbladł, zadrżał i zamilkł. Potem, jak ochłonął nieco, pojechał do Żarnek.

Chciał się zdobyć na odwagę, biedak, pragnął zajrzeć niebezpieczeństwu w oczy i mężnie stać czoło; ale gdy ujrzał Janinę gdy ona na powitanie wyciągnęła do niego rękę z pełnym dobroci uśmiechem, znowu drżał cały, krew mu uciekła z twarzy do serca, łzy do oczu napłynęły, a nie mógł wymówić ani słowa; podaną sobie rękę przycisnął do ust ośmielonych i milczał targany wewnętrznym lękiem... Nie chcąc narażać na żarty obecnych jego i siebie, a przede wszystkim pragnąc uniknąć uporczywego wzroku pani Natalii patrzącej arogancko przez lornetkę, usunęła rękę co prędzej i odeszła.

Ale Juliusz znalazł sposobność zbliżyć się do niej.

— A to pani nie chciała żenić się ze mną dla tego, że niby to ja bogaty, a pan Roman jeszcze bogatszy odemnie! — rzekł z rodzajem gniewu, jak obrażone dziecko.

Janina spojrzała na niego przeciągle.

— Panie Juliuszu, — rzekła poważnie, — panu to powiedzieli, prawda! to nie pana zdanie!

Juliusz wytrzeszczył błędne swoje oczy.

— Pani, to wszystko wie! — zawołał. — Tak, Adela mówiła, że pani wołała bogatszego...

— I pan temu wierzy? Pan mówi, że... że mnie kocha... myślałam, że pan mnie bronić będzie! a pan wierzy, że ja bogatszego chciałam?

Mówiła z żalem, bo przykro jej było, że i na nim się zawiodła.

— Ja!... ja... ależ ja panią okropnie kocham!... ja nie pozwolę żeby pani była smutna! Czy pani jest wesoła, panno Janino? pani się cieszy, że pani się żeni z panem Romanem?

— Pan Roman ze mną się żeni, panie Juliuszu, a nie ja z nim... — poprawiła go z uśmiechem, a potem dodała: — Będę wesoła, jeżeli pan się uspokoi. Niech pan pamięta, że lubię pana bardzo i niech pan nie wierzy, że idę za pana Romana dlatego, że on bogaty...

(Dalszy ciąg nastąpi).

ZA GÓRĄ.

Za górą, za chmurą, za dalą,
Promienie zagasły spalone
Na niebie się gwiazdy kryształą,—
Błękitne—różowe—zielone!...

I chyli się niebios opona
I zda się tam śpiwnie i gwarnie
Świat cały wyciąga ramiona,
Świat cały ku niebu się garnie!...

A światło uderza swą falą
W obłoki, jak w skały spiętrzone,—
I gwiazdy się palą—kryształą
Błękitne—różowe—zielone!...

Bolesław Leśmian.

PRZYRODA W POEZJI

przez

ANTONIEGO PILECKIEGO.

(Pracę tę w streszczeniu wygłosił autor w d. 25 i 28 Marca r. b. w Salu Muzeum Przemysłu i Handlu, jako odczyt publiczny na rzecz ubogich, zostających pod opieką Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności).

(Dalszy ciąg).

Gdy oderwiemy wzrok od uroczej krainy Hinduzów i zwrócimy go na północ, by wysłuchać pieśni, która rozbrzmiewała na ziemi mandarynów, doznamy takiego uczucia, jak gdybyśmy z wyżyn zachwyty zstąpili na niziny zimnego rozsądku i chłodu. Skrzydła fantazyi opadły, myśl i uczucie tulą się do ziemi, oddając na jej usługi i pieśń poety i filozofję uczonego. Słusznie mówi Wil. Schot: „Hinduz poetyzuje, Chińczyk opowiada i opisuje; pierwszy mało dba o sprawę tego życia, aby je w prawdzie nagie przekazywał potomnym; drugi, zapisując wszystko, co się stało, pragnie i sobie i przodkom swoim nieśmiertelność ziemską zapewnić.“

Gdy poezja Chińczyków nie wzniosła się na wyżyny natchnień podnioslejszych, gdy liryka nie wydała głębszych tonów uczucia, coż dziwnego, że przyroda nie przemówiła żywszym wyrazem w pieśniach tego narodu. W pieśniach tych serce człowieka nie zadrgało nigdy gorętszym pragnieniem, lub tęsknotą. Ład i porządek życia prywatnego i publicznego—oto ideał Chińczyka, oto przedmiot jego marzeń i pragnień. Natura tu i owdzie w ulotnym przed wzrokiem jego duszy przesunie się obrazie, aby wnet ustąpić miejsca praktycznym sprawom życia ludzkiego.

Przejdziemy w milczeniu obok hieroglifów Egiptu, w których przyroda milczy, lub przemawia symboliką niewolniczą, oderwaną, martwą, nie umiejącą odtwarzać piękna żywego, które otacza człowieka. Zatrzymamy się na chwilę tylko pod płomiennymi błękitami Arabii, wśród przyrody dzikiej, groźnej, a pełnej wzniosłego majestatu; pod słońcem, które żarem swym rozpala piaski pustyni; gdzie Farysy na rumakach bystrzych pędzą lotem wichrów, gdzie, jak mówi poeta tej krainy, „świątynią“ jest „ziemia i niebios sklepienie“, gdzie „huragany miecą pod niebo piasku chmury i tumany“. W uściskach przyrody płomiennej, w tej krainie uroczej, kołobee islamizmu, gdzie na południu leżą rozkosz-

ne ziemie Edenu, wśród czarów „Tysiąca i jednej nocy“, człowiek żył na łonie natury, najbliższym jego druhem był koń bystry, schronieniem—namiot; tam pod cieniem palm marzył na grobowcach i kochał, kochał konia swego, namiot swój, kochał kobietę, kochał otaczającą go przyrodę.

„Czy po wdzięcznej oazie błądzi oko moje,
„Czy wasze trzody w studniach i cysternach poje,
„Czy razem z wami siola namiotów przenoszę,
„Niewysłowione wielbię przyrody rozkosze.“

(Przekład L. Siemińskiego).

Tak mówi poeta tej ziemi, która dzieciom swym zieleń i kwiecie oazy ściele pod nogi, czoła słońcem rozpala, a cieniem palm chłodzi.

Ognista fantazyja Araba łączy się z pewną trzeźwością Semity. Nie widział on, jak Indus, w każdym zjawisku przyrody objawów bóstwa; czuł w niem tylko siłę bratnią, drgającą dla niego współczuciem. Gdy miłość namiętna, zmysłowa wylewa się w słowach gorących z ust kochanki, naówczas zapytuje ona ukochanego, czy „znaków nie widzi na niebie“, czy nie czuje, „jak wiatr jadłem wieje.“

Poezja arabska zdołała już nawet ujrzyć w przyrodzie żywe symbole uczuć serca ludzkiego:

„Ta puszcza mej miłości wiernym jest obrazem,
„Milcząca, gorejąca i bez granic razem.“

A teraz zwróćmy oczy ku tej ziemi, na której Mojżeszowi w płomieniach krzaku ukazało się oblicze Boga i zagrział głos, prawa światu nakazujący, na której później Chrystus z wyżyn Golgoty posłał ziemi miłość i odrodzenie! Inaczej tam człowiek żył z przyrodą, inaczej ją opiewał. Nie łączy go z nią ta nie tajemniczego związku, która przenosiła do serca Hinduza wszystkie jej prądy i tętna. Syn Izraela nie widzi bóstwa w każdym zjawisku natury. Jest ona cała w jego pojęciu dziełem Elohim, Jehowy, Boga jedyne, a jest zarazem prochem, leżącym u tronu Jego, kłęcznikiem, z którego płyną modły do krain niebiańskich. Piękne sklepienie niebios, szum wichrów, zieleń pól i gór szczyty same przez się nie zatrzymują wzroku Hebrajczyka, który spogląda w nieskończoność, obejmując oczyma ducha ziemię całą, jako podnózek Boga Przedwiecznego. Po promieniach zorzy porannej, na białych skrzydłach obłoków, na żaglach wichrów dusza jego wlatowała na wyżyny ze słowami modlitwy i pokory, z pieśnią uwielbienia Stwórcy w dziełach Jego, Stwórcy, który, według słów psalmisty, „postawił w słońcu przybytek swej chwały.“ Dreszcz trwoży przed obliczem Boga przebiega przyrodę całą. Gdy lud Izraelski wychodził z Egiptu, naówczas, jak mówi tenże psalmista:

„Morze rozbiegło się w strony,
„A Jordan głęboki
„Cofnął się—a góry, skały,
„Jak barany, w skoki...“

„Od oblicza to Pańskiego
„Tak ziemia zadrżała.“

(Przekład Bujnickiego).

W innym znów miejscu Psalmów Dawidowych mówi Jehowa:

„Roztopiła się ziemia zatrwożona
„Od gniewu mego wielkości.“

(Przekład Bujnickiego).

Na głos Boży „wzruszają się aż do dna otchłanie.“ Gniew Jehowy przejawia się w huku gromów i w błyskawicach, które lecą „nad ziemią w długich pasach płomienistych.“

Widzimy więc, że w pojęciu i w poezji ludu hebrajskiego prawda i piękno wiekuiste żyją nie w przyrodzie, lecz porażają ją, na wyżynach nie-

bios. Przyroda jest tylko księgą, w której dłoń Boża nakreśliła wyrazy praw swoich i oblicze piękna.

Wszystko, co żyje na ziemi z woli Jehowy, jest igraszką rąk Jego, posłusznem Mu narzędziem. „Uchła trawa i opadł kwiat, bo duch Pański wionął nań”—powiada prorok Izajasz. A dalej: „Kto zmierzyl garścią wody, a niebiosą piędziesiątważył? Kto zawiesił trzema palcami wielkość ziemi i zważył na wadze góry, a pagórki na szalach?”

Dla Hebrajczyka przyroda jest niezem innym, jak tylko objawem myśli Przedwiecznego; w niej zachwyca go mądrość Jehowy, mistrzostwo rąk Jego, jako najwyższego artysty. Zmysłowe odczucie Hinduza zamienia się tu w zachwyt duchowy; symbolizm w przenośnię, wyobrażającą w naturze przymioty ducha Bożego. Jakkolwiek piękna jest przyroda, jakkolwiek rozumna jest i wspaniała, nie dorównywa ona nigdy piękności i wspaniałości Boga; piękno jej zresztą, mądrość i wspaniałość—to tylko cząstki przymiotów Bożych, które są tem dla człowieka, czem jedna kropla wody dla głębin oceanu. Natura i wszechświat cały nie mogą pomieścić w sobie ogromu przymiotów Bożych. „Niebo i nieba nieb,” według słów Salomona, „ogarnąć go nie mogą.”

I na ziemi Hinduzów bóstwo pochłaniało jednostkę ludzką, ale bóstwo to żyło w przyrodzie, było łącznie z człowiekiem niejako przyrodą samą. U Hebrejów przyroda i człowiek leżą u podnóżka tronu Przedwiecznego.

Najwięcej bezpośredniego odczucia natury znajdujemy w Salomonowych „Pieśniach nad pieśniami,” o których mówi Bossuet: „Oko napotyka tu same tylko kwiaty, owoce, krzewy woniejące, cuda wiosny, pola żyzne, sady ukwiecone, wody, krynice, fontanny,—a zapachy najwdzięczniejsze, czy to sztuka je przysposobiła, czy są dziełem przyrody, uderzają powonieniem. Spotykamy tam gołąbki, turkawki gruchające, miód, mleko, potoki wina wyborne.”

Gdy zapytamy, co otworzyło oczy mędrca na te czary przyrody, znajdziemy na to odpowiedź w jednym słowie: „Miłość.” Uczucie to po wsze wieki trzyma w swym ręku klucz Piotrowy do nieba zachwytów nad wdziękami natury; ono stwarza w nas świat wewnętrzny, który wyrwa się ku cudom otaczającego nas świata; ono stwarza w duszy naszej błękitny nieba, wonie wiosny, ciepło słoneczne, rozbrzmiewa pieśnią słowiczą.

Miłość ta w pieśni Salomona jest „jak śmierć mocna,” „twarda jak grób,” a „żary jej—płomienne żary, istny ogień Jehowy.” W miłości tej pali się słońce wiosny, płyną ożywcze jej soki:

„Wstań-że, wstań, moje kochanie,
„Wstań piękna moja,
„I pójdź!
„Bo oto przeszła już zima,
„I deszcze przeszły—pogoda!
„Z ziemi już kwiatki wychodzą,
„I śpiewu pora nadchodzi:
„Słysząc już głosy,
„Turkawka dzwoni
„Na błoni.
„Drzewo figowe słodkimi sokami
„Figi zaprawia.
„Młode jagody na winnym szczepie
„Już wonią.
„Wstań-że, wstań, moje kochanie,
„Wstań, piękna moja,
„I pójdź!”

(Przekład L. Siemienińskiego).

na krainę ducha i przyrody. Czciciele Zoroastra,—Persowie ubóstwiali największą siłę natury—słońce, a to ubóstwienie podniosło ich ducha na wyżyny potęg niebieskich i wspaniałości przyrody. Oglądali tam oni wielkiego Ormuzda, „światłego, promienistego w światłości,” a zarazem „mocnego, czynnego, żywiącego i ogarniającego wszystko niewysłowioną wspaniałością” (Zenda-West, czyli Święta Wieść).

W czasach późniejszych, już pod panowaniem Muzułmańskim, mieli Persowie śpiewaków znakomitych, którym wyobrażnia Wschodu nasuwała do porównań poetycznych uroczyste obrazy natury. Firdusi na odmalowanie wdzięków niewieścich miał na zawołanie lilje, przy róży rozkwitające w ogrodzie wonnym, wysmukłe leśne drzewiny, wiotkie sarny, wietrzyki wiosenne; miał na odtworzenie ducha rycerskiego swych bohaterów wizerunek szeroko rozlewającego się morza, góry, drżące od tententu koni, chmurę, którą od chmury rozrywa zgłęb tłumy, blask słońca, chwytający na wszystkie strony tarcz tysiące, sosny i cedry, na dumnych wiejące szczytach, wichry, które igrają z kitami wojaków, jak z kłosałami łąnów bujnych. Umiał poeta ten przywołać na znużone czoła wojowników rzeźwiące technienie poranka, umiał rzucić na ich głowy jutrzenną różową, szczyty gór złocącą, umiał obmyć ich woni i światła strumieniem. W pieśni jego ptaszki nuca, a „ich świergot niosą czyste zdroje.” Bohater autora „jak wiatr letni” przyszedł i ginie, „jak wiatr letni.” Ojciec, który mimowolnie syna własnego w walce zabił, szuka ukojenia smutku i rozpacz na piaskach pustyni szerokiej...

W utworach Saadego słowik śpiewa ludziom pieśń miłości, a wszystkie głosy przyrody wznoszą hymn chwały do Stwórcy:

„Patrzaj, powiewa wietrzyk, szemrają liście na [drzewie,
„Kwiat każdy skąpał główkę w rzeźwiącym po [ranka powiewie,
„Językiem płatek róży, liść każdy językiem się [staje,
„Chwali Boga....”

(Przekład Szujskiego).

U Hafisa znowu:

„Kiedy kwitną róże, miłość szkołę zakłada,
„Słowik jako profesor rzecz w gaju wyklada.”

(Przekład Szujskiego).

W niezwykle prostej, szczerzej, serdecznej nucie przyroda przemawia w poezji perskiej głosem serca ludzkiego, a w świeże i uroczyste barwy przystraja ją bujna wyobrażnia śpiewaków. Posłuchajmy jeszcze precudnej piosenki Hafisa:

„Płacz mój podobien do deszczu,
„Który upada w dzień wiosny;
„Wiosenny deszczyk nie splucze
„Zieleni świata; miłosny
„Jeszcze ją mocniej podnosi:
„Mój płacz mi w duszy żalosej
„Obrazu lubej nie splucze,
„Chociaż oblicze jej rosi—
„Płacząc, ja kochać się ucze.”

(Przekład Szujskiego).

(Dalszy ciąg nastąpi).

NA MORZU.

OBRAZY I NASTROJE.

(Dalszy ciąg).

W końcu, po dobrym kwadransie drogi, zatrzymaliśmy się u celu naszej zamiejskiej wycieczki, przed wspaniałą bramą z kutego żelaza, przez której barokowe ażury ujrzelśmy wspaniały park, wspaniałe drzewa, a wszystko to, otoczone wysokim murem, obramiającym olbrzymią przestrzeń, pobudzało do myślenia o tym rajskim parku, który pod symboliczną nazwą *Paradou* służy za tło jednej z najpoetyczniejszych powieści autora *Germinia*.

Jest to—jakem się przekonał niebawem—arcydzieło parku, najpiękniejszy park, jaki mi się zdarzyło widzieć w życiu. Wyobrażam sobie, że nasza *Zofiówka* musi być w tym rodzaju, choć nie wątpię, że *Zofiówka* nawet, porównana z tą *Zofiówką* hiszpańską, straciłaby na tem porównaniu. Nie dlatego, żeby Szczęsny Potocki (do którego, pomimo wszystkiego złego, co o nim wiemy, mam dziwną literacką słabość), miał mniej gustu, aniżeli p. Heredia, ale dlatego po prostu, że co innego Podole, a co innego Hiszpania. Na Podolu, choćby się nawet było takim magnatem, jak Szczęsny Potocki (taki poetyczny na *Reytanie* Matejki!) nie można założyć takiego parku, jak w południowej Hiszpanii, gdzie nie tylko cytryna dojrzewa, ale i daktyle, gdzie zakładając park, można w nim sadzić nie tylko lipy, topole, buki, kasztany (słodkie) i cyprysy, ale go można ozdobić najpyszniejszymi palmami, bambusami, lilianami, magnoliami, olbrzymimi piniami, eukaliptusami, drzewami figowymi, ba, cedrami nawet, nie mówiąc o przepysznych szpalerach drzew pomarańczowych, gęsto obwieszonych złotymi jabłkami *Hesperyd*.

Wszystko to, nie może być w *Zofiówce* podolskiej, stanowi największą ozdobę tego egzotycznego parku p. Heredii, parku, który nawet o tak wczesnej porze wiosennej wydaje się jakimś zaczarowanym ogrodem z bajki, ogrodem, który zdaje się być przeznaczonym na to wyłącznie, ażeby w nim gruchać miłośnic, ażeby się po nim przechadzać z kobietą ukochaną „i rozkochanych słów różaniec cedzić”, ustami szukać ust kochanki, w dłoni czuć ciepło jej ręki, a oczyma pić słodycz miłości, wyglądającej z jej rozmarzonych oczów. Nie byłem w tem szczęśliwym położeniu, ale przechadzając się po tym przepysznym parku, patrząc na te olbrzymie pnienie palm, całe spowite w bluszcz, na te liljany, oplatające konary olbrzymich figowców, z których się zwieszały lubieżnie, mimowoli dawałem się rozmarzyć temu widokowi, do czego także w niemałej mierze przyczyniał się i widok mej jasnowłosej towarzyszki, która, już przez to samo, że nosiła imię Zofii, tembardziej pobudzała mnie do myślenia o *Zofiówce* i pięknej Zofii Potockiej. Może to była autosugestia, ale mi się wydało nagle, że to jasnowłose dziewczętko jest podobne do Zofii Potockiej, przynajmniej do tego portretu jej, który do dziś dnia cieszy się taką popularnością... Cóżkolwiekby, nie zapomnę o tej hiszpańskiej *Zofiówce*, którą i w tej chwili, gdy piszę o niej, widzę oczyma wyobraźni; nie zapomnę tych cienistych ustroni, po których błądziłem w towarzystwie mych panierek; nie zapomnę tych sztucznych grot stalaktytowych, w których pluskały kaskady; nie zapomnę tych romantycznych altanek, obrośniętych powojem i różami; nie zapomnę tego olbrzymiego bambusa, na którego pniu, grubym, jak ramię, wycinałem swoje litery F. H. obok liter Z. S. mej złotowłosej towarzyszki; nie zapomnę tych mostków z białych galezi brzoźowych, które mi przechodziły nad strumieniami, a z których przypatrywałem się pobliskim kaskadom, klombom i sztucznym skałom; nie zapomnę tych licznych posągów z białego marmuru, gęsto rozproszonych na całej przestrzeni parku, a „tem bielszych, że od-

Nim opuszczę Azyę, aby przejść do poezji narodów europejskich winienem zatrzymać się choć na chwilę na ziemi ludu, który, będąc czcicielem światła, walczącego zwycięzko z ciemnością, rzucił potężne blaski tego światła

bitych od ciemnej zieleni drzew; nie zapomnę tej przepysznej oranżeryi, którą zwiedzaliśmy całem towarzystwem, a gdzie oprowadzający nas ogrodnik pozwolił mężczyznom zrywać fijołki dla dam; nie zapomnę tej fontanny ze złotemi rybkami, którym rzucaliśmy okruszyny chleba, co szczególnie bawiło moje panienki; nie zapomnę przepysznego widoku, jaki stanowił gustowny pałac właściciela, w stylu willi rzymskich cesarów, który, stojąc na wyniosłym wzgórzu, zewsząd widoczny, dominuje nad całym parkiem, a ma w sobie coś z naszego Łazienkowskiego pałacyku; nie zapomnę przepychu, któryśmy podziwiali, oglądając istic królewskie wnętrza tego pałacu, pełne najwyszukańszych brzoźów i dzieł sztuki; a już czego nie zapomnę z pewnością, to tej chwili, kiedyśmy wyszli na wielki taras przed pałacem, taras, z którego się przed nami rozłożył widok na cały park, na okoliczne wsie, góry i winnice, widok, w którego głębi majaczyły czerwone dachy i kominy Malagi, dość jaskrawo odcinające się na szafirowym tle morza. A wszystko to kąpało się w pogodnym słońcu, w powietrzu czystym i przezroczystym, pod niebem ciemno-turkusowego koloru, nie splamionem ani jedną chmurką.

Blisko dwie godziny zajęło nam oglądanie tej magnackiej rezydencji p. Heredii, a że zwiedzaliśmy ją nie sami, lecz całą gromadą, prawie z 30-tu osób złożoną, więc nie brakło i epizodów komicznych, a zwłaszcza romansowych. Rozmarzeni czarującą pięknoscia tego parku, który istotnie robił wrażenie jakiegoś wymarzonego Edenu, prawie wszyscy zdawali się nastroszeni erotycznie, tak, iż nie stanowiłem wyjątku pod tym względem, kiedy idąc obok mego prześlizgniętego *vis à vis*, myślał o szekspirowskim ogrodzie Kapuletów, wyobrażając sobie, o ile piękniejszym jeszcze musi być ten park w nocy, w pogodną noc księżycową, kiedy te drzewa rozbrzmiewają trelami słowików, a te marmurowe posagi, oblane zimnem światłem miesięcznym, przybierają odcień srebrno-seledynowy. W taką noc znaleźć się w tym parku — z ukochaną kobietą! Zdaje się, iż ta myśl zrodziła się nietylko w mojej głowie; przynajmniej wszystko przemawiało za tem, sądząc z pozorów t. j. z zachowania się całego towarzystwa. Zauważyłem np., że o ile początkowo, bezpośrednio po gromadnym wejściu do parku, mężczyźni szli osobno, a kobiety także wolały trzymać się razem, o tyle po upływie dobrego kwadransa, o dziwo! mężczyźni poczęli się mieszać z damami, w miarę zaś, jak się to działo coraz dłużej, poczęły się tworzyć pary, które stopniowo zaczęły się odłączać od całej gromady. Tym sposobem, po upływie pół godziny, stał się fakt szczególny: oto całe towarzystwo rozpierzchło się dziwnie; ci sami ludzie, którzy do niedawna stanowili zwartą gromadkę, teraz się rozbili, jak stado kuropatw. Wszyscy zaś — z jednym wyjątkiem naszych dwóch Anglików-szachistów — porozchodzili się parami, a porozchodzili się tak, iż się pogubiono wzajemnie. Matki pogubiły córki, córki pogubiły braci, tylko mężowie, o ile byli z żonami, nie pogubili się z niemi. Była chwila np., iż pani Stone gdzieś się zgubiła ze swym wielbicielem, tak, iż przez jakiś kwadrans nie mogliśmy ich odszukać, a szukając ich, kiedyśmy weszli do którejś z grot stalaktytowych, wpadliśmy na jednego z owej wesołej czwórki Francuzów, w chwili właśnie, gdy wygłaszał swe uwielbienie jakiejś młodej Amerykance... W innym miejscu, w jakiejś glorietyce, do której wszedłem, z mojami angielskami (ciągle w poszukiwaniu pani Stone i naszego Francuza) natrafiliśmy na jakieś młode małżeństwo, które się całowało w najlegalniejszy sposób... Zaczę-

rowany ogród, czy co? W końcu udało się nam odnaleźć panią Stone: ale nastąpiło to dopiero w oranżeryi. Nasz pseudo-Dumas stał przy niej, a w rękę trzymał śliczny bukiet fijołków, który po pewnym czasie znalazł się w rękę pani Stone. Ta ostatnia, kiedy się jej zaczął przypatrywać baczniej, wydała mi się jakby pomieszaną, a kiedy przypadkiem spotkała się z mem spojrzaniem, zaraz spuszczała oczy... Zauważyłem także, że była bez woalki, którą najwidoczniej zdjęła w tym krótkim czasie, kiedyśmy jej szukali... Tymczasem nasz siwowasy Dumas miał taką minę, jakby był bardziej zadowolony z siebie, niż kiedykolwiek... Zaczarowany ogród, czy co?

Ferdinand Hösick.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z bieżącej chwili.

— „Zbiór praw i rozp. rząd.“ zamieszcza ustawę Rady Państwa co do zniesienia w obrębie całego państwa z wyjątkiem Królestwa Polskiego opłat za paszporty i tak zwane „widy“, pobieranych dotąd od poddanych rosyjskich.

— W sprawach zawiązywania w Królestwie Polskiem towarzystw wzajemnego ubezpieczenia, wzajemnej pomocy i dobroczynnych decydować ma, — jak donoszą „Pet. Wied.“ — obecnie już nie komitet ministrów, lecz generał-gubernator warszawski po porozumieniu się z ministrem spraw wewnętrznych.

— W d. 4-ym b. m. jako w 25-letnią rocznicę zgonu Stanisława Moniuszki odbyło się staraniem warszawskiego Towarzystwa muzycznego nabożeństwo żałobne, na którem chór mieszany Towarzystwa, wykonał pod kierunkiem p. Noskowskiego pienia kościelne, złożone wyłącznie z kompozycji zmarłego. Znakomity tenor pan Aleksander Myszuga odśpiewał „Pieśń pokutną“ Moniuszki.

— Pani Bronisława Poświkowa, przełożona szkoły malarskiej dla kobiet otworzyła w d. 10 b. m. doroczną wystawę popisową prac uczennic, kształcących się w kierunku artystycznym w wymienionej szkole. Wystawa, na której najbogaciej reprezentowany był dział sztuki stosowanej do przemysłu, miała bardzo licznych gości.

— W Warszawie zorganizowana ma być wspólna wycieczka na międzynarodową wystawę do Sztokholmu. Wycieczka potrwać ma trzy tygodnie, włączając w to i czas potrzebny dla zwiedzenia ważniejszych miast Szwecji i Norwegii.

— Ku czci Deotymy wybito w Krakowie medal, którego jedną stronę zajmuje popiersie poe-

tki, otoczone napisem: „Deotyma — Jadwiga Łuszczewska,“ a drugą wypełnia ujęty w wieniec wawrzynowy napis: „Hold czci i wdzięczności rodaków 1852—1897.“

— W dn. 12 b. m. otwarta została na terenie b. wystawy higienicznej wystawa inwentarza. Wystawa prezentuje się bardzo okazale zwłaszcza w dziale bydła.

— W kościele N. Maryi Panny w Krakowie odsłonięta została pamiątkowa tablica dla uczczenia zasłużonej filantropki Marceliny księżnej Czartoryskiej, jednej z założycielek i opiekunek szpitala dla dzieci. Tablicę zdobi medalion zmarłej wykuty z białego marmuru.

— Król Siamski, przebywający obecnie w Rzymie, odwiedzić ma w drodze do Petersburga Warszawę, gdzie zamieszka w pałacu Łazienkowskim.

— We Lwowie powstać ma wkrótce gimnazjum żeńskie. Pani Niedziałkowska, kierowniczka znanego zakładu wychowawczego dla kobiet, czyni w tym kierunku starania u władzy, które prawdopodobnie uwieńczone zostaną pomyślnym rezultatem.

— Lwowska „Czytelnia dla kobiet“ mianowała na dorocznem walnem zebraniu poetkę Maryę Konopnicką członkiem honorowym. W roku ubiegłym odbyło się w czytelni 17 odczytów, członków było 109, dochód wyniósł 774 złr.

— W Brukselli otwarta została wystawa historyczna kapeluszy i uczesań damskich i męskich. Najstarszy kapelusz, odtworzony według obrazu Holbeina, pochodzi z roku 1535, a najstarsze uczesanie Maryi Stuart i damy holenderskiej wykonane zostało podług Teniers'a. Najbogaciej reprezentowane jest bieżące stulecie, które między innymi mieści okazy czapek i kapeluszy używanych przez Napoleona I.

— Podania o przyjęcie w poczet słuchaczy żeńskiego instytutu medycznego przyjmowane będą od dn. 13-go czerwca do 13-go sierpnia. Podania te przysyłać należy pod adresem dyrektora instytutu prof. W. K. Anrepa (Ligowska 3).

— W Paryżu utworzył się, pod przewodnictwem znanego kompozytora Masseneta, komitet, który zająć się ma sprawą wmurowania tablicy pamiątkowej na domu przy placu Vendôme Nr. 12, w którym umarł Chopin w r. 1849. nadto jeden z placów publicznych w dzielnicy Passy otrzymać ma nazwę znakomitego kompozytora, a w parku stanąć ma jego popiersie. Wykonanie popiersia powierzono rzeźbiarzowi Froment Maurice, który zobowiązał się wykonać je w ciągu 3 miesięcy.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkusz 4-ty T. I, powieści p. t. **Marzenie**, przez Flor. Marryat. Przekład z angielskiego.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w kwartale przyszłym wychodzić będzie pod dotychczasowymi warunkami. Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Treść: Pierwszy kobiecy zjazd w Czechach. — Kwiat paproci, bajka, przez Znicza — Pogawędka, przez ?? — W dniach szarych, przekład Bronisława Grabowskiego. — Na łasce Powieść przez M. N. Sas-Junoszę (dalszy ciąg). — Za górą, przez Bolesława Leśmiana. — Przyroda w poezyi, przez Antoniego Pileckiego (dalszy ciąg). — Na morzu, przez Ferdynanda Hösicka (dalszy ciąg). — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: **Marzenie**, powieść przez Flor. Marryat. Arkusz 4 T. I. Przekład z angielskiego. — Przegląd mód. 30 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycje obiadu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Kraków-Przedmieście Nr. 66.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 4 Іюня 1897 г.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.